

Wincenty Fereriusz Barącz

historyk, dominikanin, z pochodzenia Ormianin (rodzina Barączów była związana z Polską od połowy XVII wieku).

Urodził się 29 kwietnia 1814 r. w Stanisławowie.

Studiował filozofię i teologię na Uniwersytecie Lwowskim w latach 1831-35 i w studium zakonnym dominikanów we Lwowie.

Przybrał imię zakonne SADOK.

W latach 1839-42 i 1851-55 wykładał na tym studium nauki biblijne, w roku 1854 został mianowany kaznodzieją generalnym zakonu.

Od roku 1855 przebywał głównie w klasztorze w Podkamieniu i z tego okresu pochodzą jego prace historyczno-naukowe.

W roku 1856 wydał Żywoty sławnych Ormian w Polsce.

Od roku 1858 był członkiem Towarzystwa Naukowego Krakowskiego, współpracownikiem Encyklopedii Powszechnej Orgelbranda i utrzymywał żywe kontakty z Ossolineum. W roku 1861 wydał Rys dziejów zakonu kaznodziejskiego w Polsce.

W roku 1865 wydał monografię Brodów pt: Wolne miasto handlowe Brody. Z tej monografii prezentujemy fragment, w którym Autor przytacza list Józefa Korzeniowskiego zawierający jego wspomnienia z lat dziecięcych przebytych w Brodach.

Opracowany przez Baracza w roku 1866 zbiór pt Bajki, fraszki, podania, przysłowia i pieśni na Rusi (wyd. 1886) jest cennym dokumentem folklorystycznym. Zawiera utwory polskie, ukraińskie, ormiańskie, żydowskie, ze środowisk szlacheckich, kościelnych, miejskich i chłopskich.

W roku 1869 wydał Rys dziejów ormiańskich.

Ponadto Barącz napisał szkice o kilku miastach galicyjskich np. Stanisławowie, Olesku i innych. W swych pracach przekazał wiele informacji o źródłach często już wówczas zaginionych.

Zmarł 2 kwietnia 1892 r. W klasztorze w Podkamieniu.

Na podstawie: Literatura Polska, wyd. PWN 1984, spisał

Wacław Fastnacht

W tym samym czasie urząd obwodowy brodzki przeniesiony został do Złoczowa. Równie też probostwo łacińskie wyłączone od diecezji Łuckiej, za wyrokiem rzymskim z dnia 11 Kwietnia 1796 roku do Archidiecezji lwowskiej przydzielone zostało¹⁷⁸⁾. Ale co najważniejsza, że tu urodził się Józef Korzeniowski były radca stanu i wizytator szkół w Warszawie, który jako poeta, romantyk i dramatyk wysokie zajął stanowisko w literaturze polskiej i pod wielu względami pozostanie mistrzem dla wielu początkujących w tym zaszczytnym zawodzie. Zbierając materiały do napisania monografii Brodów, udałem się także do niego z prośbą by mi podał niektóre notatki, które w pamięci jego przechowały się. Z nieocenioną prawdziwie uprzejmością pospieszył mi w pomoc ten czeigodny mąż z odpowiedzią swoją, którą jako ważny ustęp do jego autobiografii i ciekawych wiadomości tutejszej okolicy, dosłownie przytaczam.

Szanowny Panie. List szanownego Pana, którego nazwisko tak mi dobre znane z prac jego uczonych i użytecznych, dnia 17 kwietnia datowany z Podkamienia, odebrałem wczoraj i dziś pospieszam z odpowiedzią.

Odczwę Pańską czytałem z wielką przyjemnością. Obudzilesz Pan we mnie wspomnienia lat słodkich, lat dziecińczych, których pamięć tkwi tak żywo, chociaż tyle późniejszych zatarło się w myśli przy rozumie dojrzalszym i oku wprawniejszym do patrzenia na świat i ludzi. Co później było, widzę jak przez mgłę; co wówczas w tej epoce, o którą Panu idzie, widzę tak żywo, tak jasno, jak by to

wają nosy cienkie, szpiczaste, na chrząstce cokolwiek podniesione i t. d. Miał także niepohamowany pociąg do anegdot, opowiadał je zawsze, wszędzie i każdemu, a co gorsza improwizował nawet czasami, i to jedynie dla tego, aby przypiąć komu łatkę. Równie też posiadał talent poetyczny, na dowód którego przytacza Gazeta Przegląd powszechny z r. 1856 we Lwowie wydawany Ner 72 str. 3. bajkę o filozowie i wędrowcu.

¹⁷⁸⁾ Schematyzmy Duchowieństwa Archidiecezji Lwowskiej podają tę datę. Liber memorabilium klasztoru podkamienieckiego na str. 575 wspomina, że w roku 1780 x. Potocki, kanonik łucki, był proboszczem w Brodach.

było wczoraj. Ten folwarczek, w którym wychowałem się, który wówczas nie miał żadnego nazwiska, a po wyniesieniu się z tamtąd moich rodziców w roku 1815, musiał zapewne być nazwany Korzeniówką, rysuje się w pamięci ze wszystkimi budynkami, ze wszystkimi drzewami ogrodu, z całym obejściem, otoczonem laskiem, gdzie się tyle nabujał i naswywolił; ta droga piaszczysta, która prowadziła z jednej strony do Brodów, z drugiej do Podkamienia i Załoziec; to miasto żydowskie, którego ulice wszystkie i budynki stoją mi przed oczami; ten kościół, gdzie się tyle razy do mszy służył; nawet ta budka z doskonałemi bułeczkami, która była między kościołem i probostwem, z kąd jeszcze teraz dolatuje mię zapach świeżych bułeczek i albanki razem pomieszany; wszystko to przerzuca mię jak laską czarodziejską do owego czasu, i pięćdziesiąt kilka lat zdejmuję mi z pleców. Miłą tę chwilę winienem Szanownemu Panu; jakżebym się nie wywdzięczył szczegółami, których Pan żadasz które niniejszym listem przesyłam, a których użyjesz, jak będziesz uważał i wybierzesz z nich, co się z celem Pana i plonem dzieła, jakie zamierzasz zgodzi.

Nie wiem czy rogatka zamykająca wolne miasto Brody stoi na dawnym miejscu. Była ona może o 300 kroków za budynkiem dużym, w którym wówczas znajdowała się waga i który musi stać dotąd, bo był murowany i fundamentalnie zrobiony. Otóż wjeżdżając do miasta przed samą rogatką na lewo, była brama prowadząca na dziedziniec duży, na którym stał dawny folwark ekonomii brodzkiej. Tam urodziłem się 19 Marca 1797 roku z ojca Wincentego i matki Klary z Winklerów, Korzeniowskich. Co się potem z tym domem zrobiło, już niepamiętam, wiem tylko, że Ekonomia przeniesiona została o dobre ćwierć mili od rogatki, na samem szosie prowadzącem do Ponikwy, a rodzice moi w roku 1799, przenieśli się do własnego folwarczku, w tej samej odległości od rogatki, co Ekonomia, ale na ćwierć mili, lub więcej od szosy na lewo, na drodze wiodącej do Podkamienia. Było to śliczne i wygodne mieszkanie szlacheckie, z ogrodem dużym, pełnym drzew frukto-

wych, mającym wielką szparagarnię i mnóstwo specjalów w różnych fruktach i jagodach, na których wspomnienie i teraz slinka mi do ust przychodzi. Zabudowania gospodarskie były obszerne i wszystkie na nowo przez Ojca mego wystawione. Wszystko to otaczał prześliczny lasek z prawej strony sosnowy, a za ogrodem dębowy, zielony, pełen woni i głosu ptaków. Z trzech stron lasek ten otoczony był naszymi polami, a z jednej, gdzie był widok na wzgórza należące do Ponikwy i okryte bukowym lasem, była dość obszerna łąka, gdzie nieraz w polu gromadził siano i ściagał je w kopy. Możesz Pan sobie wyobrazić, co to był za raik dla dzieci żywych, zdrowych, prowadzonych nie grozą, ale miłością, mających wszystko, czego dziecinna dusza zapragnęła: opiekę rozumną, a nie ciężką, wygodę i dostatek wszelkich łakoci, pole do biegania i swywoli w lasku, który był tuż za bramą gdzie była swoboda, gdzie był cień i tyle ptaszków, które uczyły mnie zawczasu spiewać i za dary życia dziękować dawcy wszystkich darów, któremi człowiek cieszy się na ziemi.

Tam przepędziłem lata dziecinne do ósmego roku życia. Ojciec i matka sami nauczyli mnie czytać i pisać, a potem przygotowywał mnie do szkół niejaki pan Filipowicz, którego fizygnomią doskonale pamiętam, który skończył kursa filozoficzne we Lwowie, ale zakochawszy się w córce pewnego mularza z jurydyki brodzkiej, który u mego Ojca coś murował, i odwiedziny córki swej odbierał, rzucił w kął filozofię austryacką, dał za wygraną pedagogice, i dla miłości dziewczyny, został sam mularzem, gdyż inaczej dostać jej nie mógł. Mówił mi później mój Ojciec, że dobrze na tem wyszedł ów pan Filipowicz, wyuczywszy się prędko sztuki mularskiej i zyskawszy wkrótce reputację i lepszy byt, niżby mu była dała filozofia austryacka.

Z owego czasu, oprócz tego romansu mojego nauczyciela pamiętam jeszcze pożar Brodów, zapewne w roku 1803 i przechód armii rosyjskiej przed bitwą pod Austerlitz. Pożar ten musiał być straszny, bo przypominam sobie dobrze łunę, która oświeciła w nocy cały nasz dziedziniec, a także i tę okoliczność, że z parę familii znajomych moich rodzi-

ców przyszło piechotą do nas w nocy w odzieniu, jakie kto mógł zachwycić, z płaczem i narzekaniem, które i teraz jeszcze w uszach się moich rozlega. Ratowali się biedni, uciekając z miasta i straciwszy wszystko. W ósmym roku oddany byłem do szkoły normalnej w Brodach. Był tam wówczas bogaty kupiec, handlujący kosami, woskiem, i łojem, którego zielona kamienica stała niedaleko kościoła, stanowiła jeden bok uliczki wąskiej przegradzającej plac wielki, gdzie później stanął dom Bacha od placu, na którym był kościół i probostwo. Kupiec ten zniemczały Krowianin nazywał się Lacheta, miał żonę Niemkę i trzy córki trochę odemnie starsze. U niego ulokowali mnie rodzice żyjący z rodziną tą w stosunkach przyjacielskich. Z tamąd chodziłem do pierwszej klasy szkoły normalnej, której Rektorem, czy Dyrektorem, już nie pamiętam tytułu jaki nosił, był niejaki p. Fontana, człowiek energiczny i surowy, którego baliśmy się niezmiernie i którego potężny nos i górne zęby jedne na drugich leżące i wystające tak, że ust dobrze zamknąć nie mógł, dotąd mi są pamiętne. Szkoła złożona z trzech klass, była wówczas w ruinach klasztoru, na rynku miasta znajdującego się, naprzeciw owego ogromnego budynku z arkadami, gdzie były sklepy. Jaki to był klasztor, już tego nie pamiętam. (Dominikański.) Wiem tylko, że jeden jego pawilon wówczas, gdzie były klasy i mieszkanie p. Fontany, był mniej więcej cały, a reszta murów w zupełnej rozwalinie. Z owego czasu pamiętne mi upokorzenie miłości własnej, któremu doznałem i które mi wiele lez i zdrowia kosztowało. Ucząc się dobrze, zawsze chwalony i na pierwszym miejscu w szkole siedzący, zaprosiłem córki mojego gospodarza na examen upewniając je, że dostanę order na szerokiej żółtej wstędze z napisem z jednej strony: Zur Belohnung, a z drugiej z ogromnym orłem austriackim. Tym czasem order dostał niejaki drymbłas Łoziński, chłopak mający dwa razy tyle lat, co ja, a ja tylko pochwałę. Panny ze mnie żartowały, że się przechwalałem, a mnie serce się ścisnęło i płacz serdeczny porwał na tę niesprawiedliwość ludzką. Niestety! nie wiedziałem o tem, że później tyle niesprawiedliwości ludz-

kich zniosę z uśmiechem tylko, że nie jeden grot krytyki nie zaboli mię wcale, że nawet potwarz odbije się od piersi, niepoczuwającej się do winy, którą mi w oczy ciśnie złość i zła wiara. Order w czasie, nie minął mię na przyszły rok w klasie drugiej i pamiętam jak dziś, z jaką fantazją prowadziłem ordynek ze szkoły do kościoła, a na szyi mojej błyszczała ta żółta wstęga na trzy palce szeroka, z wielką kokardą na piersiach, na której leżał tombakowy medal z orłem i napisem. Dziś błękitna wstęga i gwiazda brylantowa mniej by mię ucieszyły.

W roku 1806 skończyłem tę szkołę normalną, gdzie w starych katalogach X. Humnicki nazwisko moje znalazł. Jak dalej szła moja edukacja to już Pana Dobr. nie interesuje i za granicę żądania jego wyrażonego w liście wychodzi. Wspomnę jednak, że w tegoż roku 1806 po wakacjach zaraz wysłany został do Zbaraża, gdzie przez rok cały uczył się łaciny w infimie, otwierającego się tamże gimnazjum pod xiędzem Daszkiewiczem Bernardynem, którego twarz i dyscyplinę pamiętam dobrze, choć tylko parę razy za myłki w okupacjach na dłoni mojej boleśnie legła. Wspominam zaś Zbaraż dla tego, że droga z Brodów do tego miasteczka wiodła przez Podkamień, z którego Pan Dobr. piszesz, a którego klasztor i jego położenie żywo niezmiernie zostały w mojej pamięci, chociaż go tylko raz widziałem z bliska. Jest że on rzeczywiście tak malowniczym, jak mi się to wówczas wydało? Nie mogę zapomnieć tej wiczy wysmukłej na stożkowatej wznoszącej się górze; tych murów tak kształtnych i tak symetrycznie rozłożonych; tego kościoła, którego chłód i uroczyście oświetlenie dotąd widzę i który ozdobami swemi i wielkością przeniknął duszę marzącego wówczas chłopca, i zadziwił oczy jego przywykłe do małego i ubogiego kościółka w Jerozolimie Galicyjskiej. Jeśli się nie mylę, są tam ciemne ołtarze, są na nich złożone figury, jest posadzka wykładana czerwonym i białym marmurem. Niepamiętam już kształtu i wielkości ołtarza, z cudownym obrazem Matki Boskiej, gdzie wówczas była msza święta na moją intencję, ale zdaje mi się, że na obrazie tym, na który przez lzy pa-

trzałem błyszcząca korona i srebrna lamowa suknia. Jest że na górze z lewej strony klasztoru samotnie sterczący, wielki kamień sześcienny, i czy trwa dotąd o nim legenda, jaką wówczas słyszałem? Słuchałem jej z wielkiem zajęciem i pamiętam dobrze dotąd. Gdy klasztor już był wybudowany i xieża Dominikanie sprowadzeni, diabeł który zawsze ich cierpieć nie mógł, a dowiedział się, że mieli tam sprowadzić cudowny obraz Matki Boskiej, chcąc im figla wypłatać, porwał tę skałę i niósł ją w szponach w nocy, aby nią uderzyć w kościół i obrócić go w gruzy. Ale że i diabeł, kiedy go namiętność uniesie, głupstwo czasem robi, więc ten wziął skałę za ciężką, tak że musiał parę razy odpoczywać. Ostatni raz odpoczął na tej górze bliskiej już klasztoru, gdzie ciężar swój na samym jej szczycie złożył. Ale gdy miał już porwać go i na kościół rzucić z rozmachem, kur zapiał i diabeł musiał zmykać do piekła. Na drugi dzień przybył już do klasztoru obraz cudowny, z nabożeństwem i ceremonią złożony został w wielkim ołtarzu i na wieki już klasztor i kościół od zawziętości diabelskiej zabezpieczył. Została więc skała tam, gdzie ją diabeł wypoczywający zostawił, a na samym jej szczycie jest ślad ręki diabła, który ją niósł i donieść nie mógł w porę. Czy ta legenda jest taka, jak mi ją wówczas, niepamiętam już kto opowiadał. Tyle pamiątek łączy mnie z Podkamieniem. Później kiedy byłem studentem w Krzemieńcu, a dalej profesorem wiele razy byłem w Poczajowie, wpatrywałem się zawsze z wielkiem zajęciem w wieżę klasztoru w Podkamieniu, którą z galeryi Poczajowskiej dobrze widno i przypominałem sobie moją podróż do Zbaraża i legendę o kamieniu, który miał kościół rozwalić, i obraz Matki Boskiej, który budowę tę od ruiny ochronił. A może i ta msza święta jaką wówczas ze łzami wysłuchał, pokierowała dalszą drogę moją. Dziś, już mam lat 64, gdzie się już zbliżam do jej końca, chciałbym Szanowny Pan przed tym samym ołtarzem odprawić mszę świętą także na moją intencję, aby reszta dni, jaka mi zostaje, była spokojną i bez kłęski; a przejście do nowego życia równie szczęśliwe, jak szczęśliwem nazwać mogę ten cały bieg,

Legenda o kamieniu w Podkamieniu

który dotąd jednym tylko serdecznym bolem, to jest utratą nagłą 30 letniego syna był ciężko przerywany.

Ale dość już o sobie. Teraz wspomnę Panu o samych Brodach, jak wówczas były i w pamięci mojej pozostały: co Panu Dobr. potrzebniejsze do zamiaru, jaki masz, niż moje dziecinne wspomnienia i uczucia, które wówczas Bóg w sercu mojem zasiewał. Za ową rogatką, która była granicą wolnego miasta, ciągnęła się ulica, podobno Lwowska źle zabudowana, mająca z lewej strony błota, a za nimi nędzne chaty, z prawej wielki browar skarbowy, dalej sianożęć mego Ojca, a dalej różne budynki dość li-che, między którymi ledwie cztery lub pięć murowanych. Tak się ciągnęła, aż do drugiej rogatki, już dominialnej, która na co tam była niewiem, ale od której na prawo ciągnął się wał, jeszcze wówczas dość dobrze utrzymany, i który z tej strony otaczał miasto i oddzielał je od jurydyki, zdaje się do probostwa należącej. Gdzie się wał ten gubił, już niepamiętam, choć jeden rok pod nim tuż przemieszkalem, gdym był w klasie drugiej, i nieraz przebiegał go w całej jego długości. Wiem tylko, że nieprzechodził na trakt wiodący do Radziwiłowa i całego miasta nieokrężał. Od tej rogatki szła dalej ulica z drewnianych budynków złożona, i wychodząca na wielki plac kwadratowy, którego dwa boki, północny i południowy, domy zajezdne żydowskie, cały zaś bok wschodni zajmowały zabudowania wspomnionego już Bacha. Ten Bach był z początku sam furmanem, później kupił sobie ten zajazd furmański, gdzie nikt inny nie zajeżdżał, tylko owi furmani frachtowych bryk niemieckich, z ogromnemi i tłustemi końmi i policzkami, z bogaceni niezmiernie przewozem wszystkich towarów z Niemiec do Rosyi i nawzajem, gdy system kontynentalny wszystkie inne drogi pozagradzał. Trudno sobie wyobrazić, co to był za ruch handlowy wówczas w Brodach, jaka massa tych furmanów i dla tego nie dziw, że ów Bach z początku rozszerzył domostwo swoje drewnianemi budynkami, potem wymurował tam kamienicę, a w reszcie kupił dobra i wyszedł na Pana. Co tam teraz stoi, czy została jeszcze pamięć tego przemyślnego furmana,

który może został Baronem, albo Hrabią państwa Austriackiego, tego nie wiem. Z tego placu wychodziło się wąską uliczką między kamienicę Lachety a domem piekarza Sztorcha na plac kościelny. Biedny to był i mały na tak wielką ludność kościołek, choć probostwo było dość bogate. A był jedyny rzymsko-katolickiego wyznania, bo oprócz dwóch cerkwi unickich, innej tam świątyni bożej nie było. Klasztor leżał w ruinie i w kościele był podobno magazyn, czy gruz, już tego nie pamiętam. Od kościoła do rynku szła ulica dość porządnie zamurowana, gdzie był dom i kantor bogatego kupca Laszkiewicza także zniemczonego Krakowianina. Rynek kwadratowy miał naokoło domy murowane, ale różnej architektury. Od strony kościoła i zamku były domy żydowskie dawniejsze z trójkątnymi dachami, całą linią od zachodu zajmowały ruiny klasztoru, od wschodu zaś nowe i dość ładne kamienice, a między temi najokazalsza bankiera Hausner et Violand, który to dom w owym czasie wielkie robił interesa, dorobił się ogromnej fortuny tak, że równie jak Bach panicz Hausnerowie kupowali podobno dobra, a panny zbytkowały i bieliznę posyłały pracować do Wiednia. Czy firma ta jeszcze istnieje, nie wiem. Czy jest jeszcze druga firma żydowska Chaskiel et Comp. także w ówczas bardzo zamożna, nie wiem. Sam środek rynku zajmował wielki, niski budynek, z arkadowym przejściem naokoło, gdzie były sklepy żydowskie, pełne wówczas najrozmaitszych towarów, ale ile sobie przypominam, brudne i niesłychanie śmierdzące. Z rynku wąską uliczką, między murowanymi żydowskimi domami wychodziło się na wielki plac zamkowy. Zamek ten dość obronny, porządnie obmurowany wałami, w których były obszerne kazamaty, stał jeszcze w ówczas cały z wystęпами do krzyżowego ognia, ze zwodzonym mostem, przed którym był wielki budynek przedmostowy z dużą wieżą czworoboczną, na której znajdował się zegar, jedyny w całym mieście. Za zamkiem ciągnęło się błoto i dalej staw i z tamtej strony był on nieprzystępny. Od strony miasta broniły go szerokie rowy przed murami, które widać można było zalać wodą ze stawu Łabodowskiego, który był

obfity i wielki. W zamku na obszernym dziedzińcu, był tylko na środku krąg starożytnych lip, ogromnych i wonnych, z prawej strony oficyna, gdzie się mieściła kancelaria Dominium, drewniana na podmurcowaniu, przyparta do wałów fortecy, a wprost bramy wjazdowej wielki piętrowy pałac, z ogromnemi salami, gdzie mieszkał komisarz Potockiego, zarządzający całym kluczem, mandatarjusz i justycjariusz, i gdzie całe pierwsze piętro stało pustką, bo p. Wincenty Potocki, ówczesny dziedzic Brodów, porzuciwszy Niemirów, mieszkał w dworku niedaleko od zamku, którego nazwiska zapomniałem (:Ostrowczyk) gdzie miał ładny ogród i gdzie z nim mieszkała kochanka jego pani pułkownikowa Hofmanowa, której mąż znajdował się także w ówczas w Brodach, ale mieszkał oddzielnie, miał insze stosunki, i czasem tylko u Potockiego bywał. Jak Kuba Bogu, tak Kubie Bóg. Szastali życiem, majątkami i krajem Panowie nasi, to też przeszastali i jedno i drugie i trzecie, pomarniało to, i pomarnieje do reszty. Zamek ten świetnie wyglądał w roku 1809. Chłopcem małym będąc przyleciałem z Krzemieńca, aby obaczyć polskich Ułanów i trafiłem na 15 sierpnia, na uroczysty obchód imienin Napoléona. Był tam w ówczas pułk Adama Potockiego, był nowo sformowany pułk Ryszczewskiego, był szwadron Szaserów konnych Prebendowskiego w ogromnych bermicach. Łatwo Pan Dobr. sobie wyobrazisz, jak to wszystko interesowało, jak rodzice nie mogli nas w domu utrzymać, jak pieszo lataliśmy do Brodów, aby widzieć musztry i exercycje nowego żołnierza, jak żałowałem, że miałem dopiero 12 lat, jak przynajmniej z drewnianym pałaszem i w papierowych, własnego wyrobu ułańskich czapkach i ładownicach, uwiłaliśmy się z bratem po naszym lasku, ścinając paproć, która nam wyobrażała szłapaków... Wszystko to przeszło jak sen, i z tych pięknych nadziei, ofiar i krwi przelanej nie zostało. oprócz wspomnień i kilku desperackich czynów męstwa i odwagi, którą Bóg dał polskiemu sercu, ale nie dał głowie polskiej politycznego rozumu, bez którego wśród rozumnych sąsiadów nie było bezpieczeństwa, całości i na nie się nie zdołało męstwo i odwaga. Z zam-

ku tego są dziś tylko gruzy, widziałem te mury, i tę wieżę wylatującą w powietrze ¹⁷⁹⁾.

Mocno żałuję, że ostatniego ustępu listu umieścić nie mogę, wszelako należy ten zajmujący obrazek uzupełnić niektórymi dodatkami. Pożar ów, o którym Korzeniowski wspomina pod rokiem 1803 był w samej rzeczy w roku 1801 podczas którego spalił się klasztor Sióstr miłosierdzia, które niemając żadnej nadziei podźwignienia spalonego budynku zakonnego przeniosły się do Załoziec ¹⁸⁰⁾. W roku

¹⁷⁹⁾ List datowany z Warszawy dnia 24 Kwietnia 1860 r, Józef Korzeniowski urodził się dnia 19 marca 1797 r. w Brodach gdzie pierwsze pobierał nauki, następnie uczęszczał do gimnazjum w Zbarażu. W r. 1808 w Krzemieńcu odebrał gruntowne zasady wykształcenia, tam obudziło się w nim zamiłowanie do literatury. Lat jedynaście utrzymywał się w Krzemieńcu własną pracą udzielając nauk innej młodzieży szkolnej. W r. 1819 przyjął posadę prywatnego nauczyciela u hr. Krasińskich w Warszawie, później bibliotekarza w Ordynacyi Zamojskich, gdzie pracował do r. 1823 w którym to czasie ożenił się z córką profesora Zygmunta Vogla. Powołany na profesora literatury języka polskiego do Krzemieńca, pozostał tamże aż do roku 1833. Zkąd udał się do Kijowa, gdzie wykładał język łaciński, starożytności rzymskie i mitologią starożytną. Od r. 1838 do 1845 zarządzał szkołami gubernii Charkowskiej. W r. 1846 został mianowany dyrektorem gimnazjum warszawskiego, a następnie przechodząc różne stopnie, został wizytatorem szkół, członkiem rady wychowania publicznego; dyrektorem wydziału oświecenia. Chorowity stan zdrowia zmusił go do szukania ratunku za granicą, dokąd wyjechał na początku wiosny 1863 r., i bawił w Dreźnie, gdzie go zaskoczyła śmierć dnia 17 września 1863 roku. Ciało jego w r. 1864 sprowadzone do Warszawy spoczęło obok syna na cmentarzu powązkim. Zostawił przeszło 70 dzieł pracy swojej. Do najlepszych jego powieści liczą się: Emeryt, Kolokacja, Spekulant, Wędrowki oryginała, Tadeusz bezimienny, Stolnikiewicz wołyński, Wyprawa po żonę, Wdowiec, Krewni, Szczęście za górami. Do najlepszych zaś dzieł dramatycznych zaliczają: Mnich tragedia, Żywi i umarli, Akt piąty, Andrzej Batory, Dymitr i Marja, Karpaccy Górale, Pani Kasztelanowa, Żydzi, Stary mąż, Okno na pierwszym piętrze, Panna mężatka, Fabrykant, Cyganie. Podróżomania, Konkurent i mąż, Plotkarz, Pustynia, Wąsy i peruka, Majątek i imię.

¹⁸⁰⁾ Przyjaciel Ludu w Lesznie wydawany 1840 Rok 6 str.